

Roźdiestwieński przed sądem.

Przed sądem wojennym w Kronsztadzie rozgrywał się od 7 do 10 bm. proces admirała Roźdiestwieńskiego, oskarżonego o oddanie w bitwie pod Czuszimą torpedowca „Biedowy“ prawie bez oporu Japończykom. Oprócz naczelnego wodza oddanych zostało pod sąd kilku oficerów, również o niespełnienie żołnierskiej powinności oskarżonych. Admirał Roźdiestwieński nie miał obrońcy, a w mowie swej, zamiast się uniewinnić, oskarżył się sam, twierdząc, że on jeden winien jest klęski czuszińskiej; prosił też sąd, aby tylko jego samego jak najsurowiej ukarano. Sąd wojenny, zważywszy łagodzące okoliczności, między innymi i to, że Roźdiestwieński ciężko ranny i silną mając gorączkę, nie mógł należycie spełnić swego obowiązku, wydał wyrok uwalniający nieszczęśliwego admirała od winy i kary. Czterech natomiast oficerów, którzy świadomie i dobrowolnie, przy zdrowych zmysłach, poddali się Japończykom, skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Polecono ich jednakże łasce monarszej. Według doniesień pism rosyjskich, wszyscy prawdopodobnie zostaną ułaskawieni i zostawieni na wolności, z utratą jedynie rangi marynarskiej.

Zamieszczona obok ilustracja przedstawia chwilę z procesu, kiedy admirał Roźdiestwieński, wygłasza swoją obronę, będącą raczej samooskarżeniem.



Roźdiestwieński przed sądem: Admirał Roźdiestwieński (X) przed sądem wojennym w Kronsztadzie wygłasza swoją obronę, będącą raczej samooskarżeniem.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

15

(Ciąg dalszy).

Radziła stara klucznica, jak mogła, lecząc chorą panią środkami domowymi.

Dziedziczka jednak spędziła w łóżku cały tydzień bez przerwy, zanim się jej polepszyło.

Kilkakrotnie w ciągu tego czasu prosiła, by jej synów przyprowadzono na chwilę. Ale mimo usilnych starań Tekluni w tej mierze, nie mogło się stać ani razu zadość jej życzeniom.

Dziedzic za radą Felicji zabronił surowo.

Zresztą dawna klucznica znowu teraz głosu żadnego nie miała w domu, w którym z powrotem rządy objęła ręką energiczną tryumfująca Felicja.

Czuła się właśnie dziedziczka znacznie lepiej i wstała z łóżka. Nikt o tem nie wiedział we dworze, nawet Teklunia, która wyjechała niby to w interesach własnych, a pokrywom postanowiła załatwić ważną sprawę swojej pani.

Miała staruszka dalekich krewnych, Chocimskich, którym niegdyś pocichu pomagała. Dziś ludzie ci dorobili się małego mająteczku, siedzieli sobie na folwarku o cztery mile drogi od dóbr pana K. i byli tak zobowiązani swojej dawnej dobrodziejce, że niejednokrotnie wspominali, iż chętnie ofiarowaliby u siebie dożywotni kącik Tekluni.

Wprawdzie obecnie we dworze pana Edwarda stosunki zmieniły się do tego stopnia, iż klucznica, która do niedawna nawet nie przeczuwała, by przed śmiercią swoją mogła opuścić S... i tułać się po cudzych kątach, zaczęła teraz zastanawiać się nad propozycją swoich dobrych przyjaciół, czy właśnie rychło nie zajdzie potrzeba skorzystania z niej na starość.

Jednakowoż w zacnem jej sercu powstała pod wpływem ostatnich dni myśl nowa, szlachetna myśl.

— Mnie stąd nie wyrzucą — pomyślała sobie — nie osmiela się... A któż dziedzica wypłacał, jak nie ja... Mam tedy prawo pozostać we dworze na łaskawym chlebie do śmierci... Zresztą łaski nie chciałam, gospodarstwem się zajmowałam i mogłam długie lata jeszcze z Bożą pomocą pracować, gdyby nie ten zły duch w habicie. Ale chyba że jej panowania też nie długo tutaj... Wreszcie, jak tam będzie, tak będzie, o mnie mniejsza... Do oczu stanę Edwardowi i kiedyby zaszła potrzeba, przypomnę, że nie miałby sumienia mnie stąd wyrzucić na stare lata... Ale moja biedna pani dłużej tutaj siedzieć nie może, to nie sposób... Pojadę do Chocimskich, poproszę, żeby zamiast mnie, przyjęli ją do siebie tymczasem... Namówię ją, żeby się z mężem procesowała i musi Edward dawać jej na utrzymanie, skoro ona przy nim, wobec tej wiedzy, mieszkać nie może...

Skoro zatem przekonała się Teklunia, iż stan

pani Edwardowej nie wymaga już jej obecności przy łóżku chorej, zdecydowała się na jeden dzień wyjechać i udała się właśnie w tej sprawie do Chocimskich.

Pod jej niebytność w domu wstała dziedziczka i wyszła z pokoju klucznicy, gdzie tydzień przeleżała. Nie dziw, że pierwsze kroki skierowała do pokoju swych dzieci.

Była godzina wieczorna. Więc chłopcy już spali obaj. Nie zauważona przez nikogo na korytarzu, wsunęła się matka na palcach do ich pokoju i po kolei na czołkach obu synków położyła cichy pocałunek miłości macierzyńskiej.

Długą chwilę jeszcze przy mdłych blaskach nocnej lampki patrzyła od drzwi, jak w obraz, na śpiące spokojnie twarzyczki swych dzieci, że się zdawać mogło, iż pragnie nasycić oczy widokiem, którego jej skapiono i którego gotowa zostać rychło pozbawiona zupełnie.

Wyszedszy na korytarz, przystanęła nad słuchując i zastanawiała się, dokąd ma się udać następnie. Niezdecydowana, wracała już do pokoju klucznicy, gdy wtem do uszu jej doleciał głos męża... Rozmawiał z kimś niezbyt głośno, przyczem słów nie mogła rozróżnić — ale gdzie?

Poszła za tym głosem i ledwie kilka uczyniła kroków, przystanęła znowu.

Teraz była pewna, że Edward jest w łazience. Bez namysłu rzuciła się ku drzwiom i otworzyła je gwałtownie.

Z piersi jej wydarł się krzyk bolesny.

Złamana, krokiem chwiejnym powlokła się z powrotem do pokoju Tekluni, a za nią z łazienki przez drzwi otwarte zabrzmiał głos Felicji:

— Pójdź siostró tutaj, pójdź... obmyj się z myśli grzesznych... Potrzebny tobie Jordan... Dobrze ci kąpiel zrobi dla ciała i dla duszy...

Dziedziczka nie słuchała, drzwi za sobą zatrzasnąwszy. Lecz nie wybuchnęła płaczem, znalazłszy się sam na sam w czterech ścianach pokoju klucznicy. Z energią niezwykłą, jakkolwiek bezsilna jeszcze po chorobie, zabrała się do pośpiesznego pakowania swych rzeczy. Odziała się ciepło, a do zawiniątka podręcznego kładła tylko co najniezbędniejsze. Przygotowania jej nie trwały dłużej nad dwadzieścia minut, poczem nie zważając na ciemności nocne, wybiegła zamatulona z tobołkiem w rękę z własnego dworu na dziedziniec.

Psy ją poznały i nie szczekając, lasły się u nóg pani, lecz ona pogłaskawszy je kolejno, nakazała zostać w podwórzu, a sama opuściła wrota dworskiego obejścia i drząc z zimna, szła przed siebie, świeżym śniegiem zasypaną aleją.

Uszła może dwieście kroków, gdy od lasu w stronę dworu jadąc ciężko zaśniewioną drogą, zbliżył się powóz. Usunęła się na bok, przeczekając, a gdy się tylko z nią zrównał, krzyknęła:

— Tekluniu!

Przerażona Teklunia, która natychmiast głos pani poznała, wychyliła się z powozu, a woźnica przystanął...

— Jezus Maryja! Co też panusia robi...

— Cicho, Tekluniu moja, cicho... Powiedz mi tylko, czy mogę do nich jechać...

— Owszem, otwartemi rękoma przyjmaj, czekają... Ale czemuż tak gwałtem po nocy... Co się stało...

Przez ten czas pani Edwardowa wsiadła do powozu, gdzie Tekla robiła jej miejsce.

Namowy i perswazyje nie pomogły. Teklunia musiała wrócić sama do domu od wrót dworskiego dziedzińca, dokąd ją podwieziono, poczem dziedziczka kazała nawrócić i jechać tam, skąd powóz właśnie przyjeżdżał.

Wprawdzie klucznica obawiała się puszczać panią samą w nocną podróż i napierała się odwieźć ją na miejsce, ale dziedziczka uprosiła ją, by ze względu na dzieci, nie wydalala się z domu. Również furman narzekał, że naraz przez popołudnie napadało już tyle śniegu, iż trudno mu będzie kołami dojechać, a nie zbawiłoby dużo czasu zmienić w stajni konie i zaprządz do sami. Ale dziedziczka pod żadnym warunkiem nie pozwoliła wracać na dziedziniec i nagliła, jak gdyby jakie złe przeczucie kazało jej uciekać z domu co rychlej.

Jechano prawie noga za nogą, bo już konie były zmęczone, a śnieg padając bez przerwy nawalnie, jeszcze utrudniał drogę ciężkiemu pojazdowi.

Jeszcze ani pół godziny drogi nie ujechali, gdy z tyłu za nimi rozległy się ostre dzwonki sanek.

Furman Błażej obejrzał się z kozła, a już sanie zrównały się z ich powozem.

— Stój! — huknął ogrodniczek Wosinek, który niemi powoził.

Zaniepokojona pani Edwardowa, wychyliła się i poznała sanie dworskie.

— Pogoń za mną — pomyślała.

Ale Wosinek zaczął zaraz tłómaczyć, że klucznica Teklunia przysłała dla pani sanie, żeby droga była lżejsza, bo przy powozie strasznie zmęczyłyby się konie, które i tak dziś zrobiły kilka mil.

To uspokoiło dziedziczkę. Przesiadła się natychmiast z powozu do sanek. Błażej nawrócił w stronę dworu, a Wosinek zaciąwszy konie, pognął, jak wiatr przed siebie.

— Pocziwa Teklunia — szeptała do siebie podróżna, odczuwając znaczną różnicę w jeździe saniami — byłabym powozem wlokła się, Bóg wie, jak długo.

Noc była ciemna, że oczy wykol. Śnieg ani na chwilę nie przestawał sypać. Ale Wosinek musiał znać drogę wybornie, skoro bez przerwy pędzili gładko przed siebie, jakby w biały dzień.

Wtem sanie stanęły przed jakimś domem.

— Więc to już tutaj? — spytała, rozglądając się wśród ciemności.

W tej chwili zamieć śnieżna była tak gwałtowna, płaty białe wirując z wiatrem, zasypywały oczy tak gęsto, że nie sposób było nic przed sobą rozeznąć ani na krok.

(C. d. n.)